

## Szkoda Wyspiańskiego!

Drzę na samą myśl o tym, że młodzież stołeczna, która z taką ofiarnością zdobywała bilety na Warszawskie Spotkania Teatralne, może się nam odwrócić od Wyspiańskiego. I to za sprawą dwóch rekomendowanych inscenizacji. Maciej Englert, reżyser „Wyzwolenia” w Teatrze Współczesnym w Szczecinie, jakby sam niepewny swych przewag, wyznał za pośrednictwem Wyspiańskiego, że nie ogląda się na recenzentów, zapatrzony w widownię. Ma rację. Ale właśnie publiczność zgotowała mu największą sypurpryzę, rejterując z krzesel. A na zakończenie rozległ się głos z sali: autor, autor.

Cenne są próby nowego odczytywania dzieł naszych największych, w tym czwartego wieszczka, tak zespolonego z naszym duchem narodowym, z polskim charakterem i obyczajem, z pokretnością naszego losu. W „Wyzwoleniu”, jak w każdym dramacie Wyspiańskiego, przenikają się różne warstwy myśli, refleksji, obserwacji, zdarzeń. Jest mowa nie tylko o okowach niewoli politycznej, ale również o bierności, o podległości sztuki.

Reżyser zdecydował się na wersję zubożoną, własny wybór, co oczywiście jest jego prawem, skupiając się na publicystycznej wymowie. Odebrał też „Wyzwolenie” w rozmach inscenizacyjny. Cały ciężar przedstawienia zrzucił właściwie na barki Konrada. Inne osoby są dla niego tylko mediami, za pośrednictwem których rozprawia się z przywarami społeczeństwa. Taka koncepcja wy magała jednak niezwykle silnej indywidualności głównego bohatera, wewnętrznego ognia, który zrekomensowałby statyczność

scen zbiorowych, rozgrywanych w dodatku na niezbyt efektywnym tle kulis teatru. Tej porywającej sily brak Konradowi — Mirosławowi Gruszczyńskiemu. W tej interpretacji naprawdę bardzo mało nas obchodzi jego słowa. Są szare. Brzmia jak puste dźwięki. Nic dziwnego, że publiczność wywołuje autora.

A znów „Akropolis” rodem z tradycyjnego Teatru im. Słowackiego w Krakowie jest typowym, pokrytym już wieloma warstwami kurzu, przedstawieniem akademickim. I pomyśleć, że Krystyna Skuszanka należała do awangardy i czyniła onego czasu przewroty na scenie. Z „Akropolisem” Wyspiański miał najwięcej perypetii. Dyrekcja Teatru Miejskiego stwierdziła nawet, że najnowsze dzieło „mimo poetycznych zalet nie kwalifikuje się na scenę”. Później oczywiście zostało zrehabilitowane, ale rzadko pojawia się na afiszu. A przecież, choćby ze względu na swego głównego bohatera — Wawel, ożywienie jego pomników, całą złożoną warstwę filozoficzną, czeka na współczesne odkrycie inscenizacyjne.

Przecież w tym właśnie dramacie Wyspiański mówi „prawdy wiecznej przykazanie”. On sam traktował swoje dramaty jak partytury, które dopiero instrumentował bogato na scenie. Przedstawienie ma okazałą oprawę scenograficzną. Ale myśl w nim osnuta i tonacja nazbyt jednostajna. Nic dziwnego, że w drugiej części widownia świeciła łysinami pustych krzesel.

Szkoda Wyspiańskiego!

BARBARA HENKEL